

łości, a przy tem kiedy niekiedy taki polysk kokiećterjno-ufmujący, że kto raz je zobaczył, już ich nie zapomni.

Z tłumy wysunął się rycerz średniowieczny, w towarzystwie zgrabnego paza i stanął przed filarem, koło którego usiadły arabki. Wpatrywał się wnie z wielką uwagą, dobył nieznacznie kawałek kartonu, przypatrzył mu się i kilka razy rzucił okiem to na karton, to na arabkę z niezwykle oczyma. Przyłączył się do nich cygan, pokornie uklonił się rycerzowi i spytał po cichu paza:

— Poznałeś ja?  
— Poznałem wszystkie trzy.  
— Trzy? Wszakże są tylko dwie.  
— Choćcie; już obserwują nas i mogą się domyślać — rzekł paź. — Możemy już swobodnie wyjść z balu, ale nie wchodźmy razem, czekam was za pół godziny u siebie.

Na balu szumiło jeszcze wszystko. huczało. W pół godziny potem w mieszkaniu Stuarta zjawili się Jocellyn i Ferrars.

— Powiedźże teraz mój pazu — rzekł Ferrars do Suarta — kto to jest ta trzecia?

— Włóczęgo cyganie, proś rycerza Jocellyna, niech ci rzecz wyjaśni, boć przecie z fotografią w ręku sprawdzał moje odkrycie.

— Zagadki, same tylko zagadki — mówił Ferrars.

— W jednej i tej samej osobie odkrył ten wiercipięta, mój paź, nie tylko pannę Laurę Durand, ale i Elizę Szwartz. Mówże sam mój pazu — rzekł Jocellyn.

— Laura Durand chciała zgubić swą dawną towarzyszkę, Nelly Brown i dlatego nadszła do mnie i tak od niechcenia podała adres mieszkania, które od dłuższego czasu interesowało Jocellyna, jako specjalistę. W tem mieszkaniu jest pensjonat pani Rogers. Panna Brown, znana już dama z opalami postanowiła pozbyć się swej dawniej przyjaciółki Laury i dlatego namówiła ją na ten bal maskowy. A dla czego? Oto, że oczy w oprawie maski dokładniej się uwydatniają, więc łatwiej je pochwycić z fotografa. Obserwacja potwierdziła stanowczo, że Arabka z dziwnymi oczyma jest to poszukiwana morderczyni męża, Eliza Szwartz. Że zaś ową Arabką jest zarazem panna Durand, więc Eliza Szwartz i panna Durand są jedną i tą samą osobą. Ale w tej osobie tkwi jeszcze morderczyni Arteveldta, bo Eliza Szwartz, czyli panna Durand z mordowała Arteveldta, o czem przekonał się najdokładniej bratanek pana Duranda, pan Arhur Durand, który się wam w tej chwili w mojej osobie przedstawia.

Jocellyn i Ferrars równocześnie prawie wyciągnęli rękę ku Stuartowi do serdecznego uścisku.

— A więc niedługo będzie już epilog całego dramatu — rzekł Jocellyn. — Andę się pochwyci, morderczynię odda w ręce sądu; Leonora Armyn będzie od wszelkich podejrzeń uwolniona. Ciężka była praca, a największa zasługa Stuarta. Dzieńny z ciebie chłopiec!

W godzinę potem otrzymał Durand krótką depeszę: „Wracajcie“.

## XXV.

### FALSZERZE MONET.

Do pensjonatu pani Rogers przybył przed wieczorem handlarz obrazów, zaznajomiwszy się przed kilku dniami z kucharką.

Przyjęła go w swoim pokoiku przy kuchni bardzo gościnnie, a widać musiały się jej obrazy bardzo podobać, skoro go w tajemnicy przed panią zatrzymała do późnej godziny. Tymczasem mięła już godzina jedenasta w nocy, pani Rogers sama obeszła wszystkie korytarze w domu, sama zamknęła drzwi od ulicy i udała się na spoczynek do swojego pokoju.

Handlarz obrazów nie mógł już wyjść na ulicę, więc kucharka pokazała mu mały pokoik na piętrze, przytykający do oszklonego ganku, łączącego pensjonat z domem, w którym zamordowano Arteveldta. Był to pokoik mały, niepozorny, przeznaczony prawdopodobnie dla służby. Handlarz obrazów zamknął się w nim, ale spać się nie położył, tylko co chwilę spoglądał na zegarek, posługując się krytą latarką.

Gdy uderzyła dwunasta, handlarz obrazów otworzył ostrożnie drzwi swego pokoiku, przeszedł przez szklany ganek i dobywszy z kieszeni klucza, otworzył nim drzwi, wiodące do willi Arteveldta.

W tej samej chwili stanęło na ulicy sześciu mężów. Czterej z trzymali się u wejścia do pensjonatu, a dwaj otworzyli willę Arteveldta i ostrożnie, po cichu udali się na pierwsze piętro, a stamtąd korytarzem do owego szklanego ganku, który handlarz obrazów przed chwilą otworzył.

— Gotowe? — spytał jeden z przybyłych handlarza obrazów.

— Chodźcie, wszyscy przy robocie.

Cicho, ostrożnie postępowali, wiedzeni przez handlarza obrazów, aż znaleźli się w bocznym krętym korytarzu. Wisiała tu szeroka opona, z ciężkiej grubej tkaniny. Wsunęli się tam po nią wszyscy trzech i zatrzymali przed drzwiami, przez które dochodził sfilumiony odgłos cichej rozmowy i brzęku metalu. Handlarz obrazów chwycił nagle za klamkę i drzwi pędem otworzył. Wszyscy trzech weszli prawie równocześnie, trzymając rewolwery w ręce.

Za stół siedziało sześciu mężczyzn i jedna kobieta. Na stole płyty, stemple i wszelkiego rodzaju przyrządy, któremi się fałszerze monet posługują. Pięciu mężczyzn zajętych było fałszowaniem monet i banknotów, a szósty z kobietą obliczał je, układał i porządkował.

Na widok przybyłych, fałszerze wzdali okrzyk wściekłości i sięgnęli po broń, ale zanim ją uchwycić zdolali, już rewolwery przybyłych opierały się o ich piersi.

— Podajcie się! dom o'oczony, ani jeden z was nie ujdzie. Przy najmniejszym oporze wystrelamy was wszystkich. W imieniu prawa wzywam raz jeszcze: ręce do góry! — rzekł jeden z przybyłych tonem groźnym i stanowczym.

Był to Jocellyn, który tu przybył w towarzystwie Stuarta, a owym handlarzem obrazów był Ferrars.

Przez chwilę trwało grobowe milczenie; fałszerze widocznie wahali się, co czynić. Kobieta chwyciła nagle rewolwer i skierowała go na Jocellyna, ale nim zdążyła pociągnąć za cyngiel, już ją uchwycił Ferrars silną dłonią jak kleszczami, rewolwer z ręki wyrwał i zawlał:

— Ellen Pomeroy!

Śmiertelna białota pokryła twarz kobiety, nogi się pod nią zatrzęsły, z przerażeniem spoglądała na Ferrarsa.

— Cóż to pani się stało, panno Nelly Brown? — zapytał wesoło Stuart, ale oczywiście nie otrzymał odpowiedzi, zwłaszcza, że nie było na nią czasu, bo Ferrars mówił dalej.

— Ellen Pomeroy jest sławna z tego, że umie zabijać agentów policyjnych, ale tym razem już się to nie uda. Postąp pani ku mnie; ręce do góry. Nie spodziewałaś się, że cię tu odkryją. Wiesz, jaka kara w Anglii cię czeka?

Tak była zaskoczona niespodziewanem odkryciem, że popadła w jakąś bezwładność i nie opierała się wcale, gdy jej ręce wiano.

— Cóż panie Fergus? — rzekł Jocellyn zwracając się do mężczyzny, który fałszywe banknoty porządkował — nie jest dobry koniec tej zabawki?

W tej chwili Fergus sięgnął ręką do kieszeni, dobył coś i połknął, a równocześnie jeden z pięciu, co monety wyrabiali, murzyn z iskrzącymi oczyma, rzucił się z tygrysią szybkością na Stuarta i chwycił go żylastą ręką jak kleszczami, za gardło.

Zanim atoli ścisnąć je zdołał, już go Jocellyn chwycił za kołnierz i silnem uderzeniem na ziemię powalił tak, że padł bez przytomności.

Fergus zmienił się pędem na twarzy, blazł, siniał, piana na ustach mu wystąpiła, widocznie zażył truciznę.

Jocellyn dopadł najbliższego okna, dał znak gwizdawką straży policyjnej na ulicy pozostałej. Trzech strażników przybyło, czwarty pospieszył po lekarza. Fałszerzy wzięto pod straż; niedługo przybył i lekarz, zadał Fergusowi antidotum i kazał go przewieźć do szpitala, wyrażwszy nadzieję, że mu życie ocalić będzie można.

Podczas tego gdy lekarz zajmował się Fergusiem, Stuart zbliżył się do Nelly Brown, czyli właściwie Ellen Pomeroy i rzekł do niej spokojnie, patrząc bystro w oczy:

— Zostałaś pani uwięzioną za udział w fałszerstwie monet, ale jesteś obwinioną o zbrodnię jeszcze cięższą.

— O jaką? — zapytała nieśmiało.

— Obwinioną pani jesteś o udział w morderstwie Arteveldta i w okradzeniu pana Duranda.

— Ja? Kto mnie obwinia?

— Własna przyjaciółka pani, panna Durand.

— Laura Durand? Ona się na to odważy?

— O! Ona się odważyła na większe rzeczy!

Ale o tem potem, a tymczasem proszę mi powiedzieć, czy pani zechce wyznać wszystko dokładnie, jakie to stosunki was połączyły i jakie rozdzieliły?

Nelly Brown, czyli właściwie Ellen Pomeroy, milczała i widać było, że odzyskuje panowanie nad sobą i właściwie sobie zuchwałość.

— Proszę się długo nie namyślać panno Nelly Brown — wtracił Ferrars — bo opowiedziałbym tu przy świadkach takie rzeczy o pani Ellen Pomeroy, że musiałabyś natychmiast być odesłana do Anglii i tam postawiona przed sądem. A kodeks angielski wyznacza za takie sprawy karę śmierci.

— Jeżeli ja mam być wywieziona do Anglii, to cóż dopie o stanie się z tak zwaną Laurą Durand?

— Morderczyni Arteveldta zostanie uwięziona i stawiona przed sądem — odpowiedział Stuart.

A więc przecie! O! powiem, powiem wszystko, aby ta dumna, bezczelna, musiła tarzać się w prochu — mówiła z ożywieniem Nelly.

— Opowiedz to pani wszystko w obecności świadków.

Uwięzionych fałszerzy monet odprowadzono do więzienia, tak zwany pensjonat pani Rogers opieczetowano i otoczono strażą.

## XXVI.

### U DRA HALE.

W jednym z hoteli zajął skromne mieszkanie Durand, przybywszy na depeszę Stuarta. Uwiadomiony o tem przez posłańca pospieszył Stuart do hotelu.

— Jestem punktualny, nieprawda? — rzekł Durand, witając się ze Stuartem. — W jakim stadjum znajduje się cała sprawa?

— W zupełnie właściwym — odpowiedział Stuart. — Jakże się ma żona pańska?

— Ach, p nie kochany, jabym tę nędznicę, co mi żonę otruci chciała, na szubienicy chciał widzieć. Wyobraź pan sobie, że ta niegodziwa jeszcze w ostatniej chwili czyhała na życie swojej dobrodziejki. Jakoś czwartego dnia po naszym wyjeździe moja biedna żona nagle ciężko zachorowała. Wyładowało to na chorobę żółtawkową; posłałem natychmiast po lekarza, a tymczasem pytałem się po ołówki, czy moja żona nie zjadła czegoś niezdrowego. Dowiedziałem się, że nie jadła nic takiego, tylko piła wino z domu przywiezione, a zapakowane przez Laurę. Dowiedziałem się też, że Laura kazała to wino podawać mej żonie, mówiąc, że jest bardzo zdrowe i pokrzepiające i że moja żona z upodobaniem je pije. Pokazało się, że to było wino zatrute. Co to za niegodziwa istota! Wyobrażenia nie miałem, ażeby tyle fałszu, obłudy, tyle zarazem bezczelnej zuchwałości mogło się skojarzyć w jednym człowieku i do tego jeszcze w tak młodej kobiecie! A czy pan już dociekieś wszystkiego? czy masz już łódź do odnawiania jej sądomi?

— Cały węzeł tej sprawy mam w ręce i wkrótce już zakończy się ten dramat. Dziś muszę być u adwokata pani Arteveldt, dra Hale. Niech pan potrudzi się ze mną, aby usłyszeć bardzo wiele rzeczy ciekawych, a nawet dla pana zupełnie niespodziewanych.

— Jestem gotów nawet zaraz udać się z panem, bo przyznam się szczerze, że mnie to wszystko tak przegnębia, tak rozstraja, że radbym już jaknajprędzej doczekać się końca.

Udał się do dra Hale, gdzie się już Ferrars znajdował.

Po przywitaniu powiedział Stuart z właściwą sobie swobodą:

— A więc udało nam się wreszcie znaleźć Leonorę Armyn.

— Przecież będzie można wymierzyć należytą karę morderczyni Franka Arteveldta — rzekł dr. Hale.

— O tak, niezawodnie. Morderczyni Arteveldta będzie ukarana, a Leonora Armyn uwolniona od krzywdzących ją podejrzeń.

— Co pan mówi? — zawołał dr. Hale zdumiony i wpatrzył się w Stuarta, jakby mu to, co teraz słyszał, wydało się snem, albo niewczesnym żartem.